

Prolog

Urwisko.
Zawołało do niego.
Musnęło go... ciemnością.

Dopiekło mu obietnicą złożoną dawno temu.

Wiedział od tak dawna, słyszał zew od tak dawna, że ta najważniejsza noc w jego życiu straciła swój pierwotny urok.

Tchnienie obietnicy prześliznęło się nad krawędzią i połaskotało go w nos. James odetchnął, delektując się słonawym, cierpkim smakiem powietrza, jego grobowym zimnem.

Urwisko miało go zabić.

Poczuł mocny nacisk na plecy. Nie miał odwrotu, nie mógł uciec. Czy coś kryło się przed nim tam, w smudze czerni? Czy było coś w szumie wiatru, który prześlizgiwał się nad huczącymi falami przyboju i wspinał po stalowoszarej skale, żeby całować jego słone policzki?

James krzyknął głośno, gdy zionący pustką nocny wiatr pochwyił, skręcił i porwał na strzepy jego uczucia.

Huk fal wprawiał powietrze w drżenie. Wibracje przenikały jego ciało. Ich dotyk był lodowaty, ich władza

absolutna. Przyszedł tu, by wypełniło się jego przeznaczenie. Dziewiętnaście lat spędził na przygotowaniach, a jednak teraz, gdy chwila nadeszła, zastanawiał się, czy da radę.

Pomyślał o Cindy.

„Odepchnij terazniejszość i przytul mocno przeszłość” – nakazał sobie.

Cindy była dla niego taka dobra. Taka oddana. Wywołał z pamięci jej postać, zobaczył szelmowski uśmiech i zadarty nos. Uwielbiał jej włosy niesfornie spadające na ramiona. Uwielbiał smak jej chętnych ust. Uwielbiał, jak ostrzegała go przed „pułapkami” zastawianymi przez jego matkę.

– Nie widzisz, że ona potrzebuje frajera? – powtarzała, potrząsając nim za ramiona. Była taka piękna, gdy próbowała przemówić mu do rozumu. Jej ręce zaciskały się z całej siły... niemalże czuł je teraz. – Ocknij się i odejź! Jedź ze mną jesienią do szkoły.

– Nie mam pieniędzy – odpowiadał. – A gdyby nawet, nie dostanę się, bo miałem za słabe oceny.

– Dostaniesz się – przekonywała. – Jeśli ze mną pojedziesz, po roku pracy na własne utrzymanie będziesz mógł wystąpić o pomoc finansową. Proszę, James, zrób to dla mnie. Uciekaj od niej. Wynieś się z tego miasta.

Nie opuścił Terrel Heights.

A Cindy wyjechała.

Pisała od czasu do czasu, a on niekiedy odpowiadał. Nie mógł jednak za nią pojechać. I nie mógł jej powiedzieć dlaczego. Nie umiałby wyjaśnić, jaką władzę rozciąga nad nim urwisko.

Jego przeznaczenie.

Szkoda, że nie mógł się z nim spotkać w blasku księżyca. Chmury i mgła spowijały tę noc. Zadrżał, czując jej dotyk. Palce jego stóp wisiały nad wilgotną pustką. Trzydzieści metrów. Może więcej.

Napór na plecy narastał. Nadszedł czas.

Pomyślał o wielu dniach spędzonych w jaskiniach na dole. O dniach obietnic, przygotowań. Wiedział, że duch urwiska żyje. Potrzebuje go. Łaknie. Jego ofiara powstrzyma ducha od wyssania życia ze wszystkich innych mieszkańców Terrel Heights. Jego dusza w zamian za tysiące.

Tego roku.

Miał nadzieję, że Cindy nie będzie o nim źle myślała, kiedy się dowie. Nigdy by nie zrozumiała.



James się poddał. Czuł ręce na plecach, czuł przybór mocy przenikającej go niczym prąd elektryczny, spychającej go w przepaść. Czuł głód mrocznego ducha, który władał górą. Krzyknął tylko raz, gdy wzdłuż stromej skalnej ściany leciał ku leżącym u podnóża głazom, żeby się na nich roztrzaskać.

Gdzieś wysoko jęknął w odpowiedzi zawodzący głos.

Fale mocno biły w urwisko.

Coś w ciemności skosztowało ofiarę.

I przyjęło owoc Przymierza.



Pytania

Rozdział I

Trójka, tu dyspozytor. Wygląda na to, że mamy następnego skoczka na Górze Terrela, Bob. Jedź, twoja kolej...

Joe Kieran podniósł głowę, gdy krótkie, pełne zakłóceń wezwanie popłynęło ze stojącego w kącie radia.

„Skoczek?” – zastanowił się. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że chodzi o samobójcę.

Był tu nowy i dostał robotę nie do pozazdrosczenia – jako nocny reporter siedział w redakcji do późna. Wystukiwał artykuły, które miały się ukazać w bliżej nieokreślonej przyszłości, z utęsknieniem wyczekując sensacyjnych komunikatów na częstotliwości policyjnej. Ciągle miał nadzieję, że o pierwszej w nocy w Terrel zdarzy się coś ciekawego. Wtedy Joe chwyci reporterski notes, wskoczy do wozu i pogna przez miasto, żeby przygotować relację i telefonicznie przekazać najważniejsze szczegóły do redakcji, aby Randy mógł je zamieścić w porannej gazecie. Ale w Terrel chyba nigdy nie działo się nic po szóstej wieczorem. W ciągu dwóch miesięcy pracy zaledwie raz wsiadł do samochodu. I zaraz wrócił, bo był to fałszywy alarm.

Nie, praca reportera w sennym miasteczku Terrel nie należała do ekscytujących. Zwykle z policyjnego radia płynęły skargi na hałas w sąsiedztwie i wezwania do awantur domowych. Jedno i drugie nie zasługiwało na wzmiankę w „Terrel Daily Times”. Swoją drogą większość artykułów, pod którymi umieszczał swoje nazwisko, wydawała się niewarta farby zużytej do ich wydrukowania. Klub Rotariański sponsoruje kiermasz dobroczynny. Biblioteka Taft Memorial urządza wystawę wiejskiej ceramiki z dziewiętnastego wieku. Wypracowania trzech uczniów Szkoły Podstawowej Shane wezmą udział w konkursie „Bądź czujny, powiadom o pożarze”, zorganizowanym przez straż pożarną hrabstwa...

Ale teraz, po dwóch miesiącach słuchania policyjnych komunikatów o stłuczkach, o awanturach z rzucaniem talerzami i od czasu do czasu o piwnych imprezach licealistów, naprawdę coś się działo.

– Hej, Randy! – zawołał do krzepkiego redaktora, który siedział po drugiej stronie pokoju. – Słyszałeś? Co to znaczy „następny na Górze Terrela”?

Randy podniósł głowę znad klawiatury i milczał przez długą chwilę. Wreszcie popatrzył prosto na Joego.

– Znowu ktoś skoczył z urwiska. Nie zwracaj sobie głowy. Zajmiemy się tym jutro, kiedy będą znali szczegóły.

– Nie powinienem tam jechać? Dla mnie wygląda to na temat na pierwszą stronę.

– Nie. Jutro zadzwonisz na policję. Powiedzą ci wszystko, co musimy wiedzieć.

– W tej chwili mam na tapecie tylko ten artykuł o Klubie Bibliotecznym – powiedział Kieran. Od czasu

wyjazdu z Chicago nie miał żadnego sensacyjnego tropu i nie chciał zrezygnować. – Może więc jednak pojedę?

– Opuść to sobie, Joe.

W głosie Randy'ego zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Kieran wiedział, że redaktor nie ustąpi, choć nie znał przyczyny. Jednak reporterski instynkt nie pozwalał się mu poddać. Poza tym naprawdę potrzebował przerwy w tym nieznośnie nudnym wieczorze – nawet oglądanie pokiereszowanych zwłok byłoby miłym urozmaiceniem.

W miarę upływu godzin potok zielonych słów na ekranie jego monitora płynął coraz wolniej. Joe klął w duchu, bo kanał policyjny uciął po rzuceniu tej krótkiej przynęty godzinę przed północą. Czasami serdecznie nienawidził pracy w małomiasteczkowej gazecie. Gdyby się tutaj wychował, wiedziałby dlaczego Randy nie chciał mówić o samobójcy. A dyspozytor powiedział „kolejny”. Jakby to zdarzało się często. Może kiedyś skoczył ktoś z rodziny redaktora? Do licha, najwyraźniej wszyscy w mieście poza Kieranem znali dramatyczną historię urwiska!

On dorastał w Chicago i przez krótki czas grał w jednej lidze z tuzami dziennikarstwa. W tym czasie dla studenckiej gazety Northwestern University pisał o pokręconej historii dochodzeń w sprawie porwania małej JonBenét Ramsey. Dzięki tym poczytnym artykułom zaraz po studiach załapał się jako niezależny dziennikarz do „Chicago Tribune”. Musiał jeszcze opisać szereg nieciekawych zebrań podmiejskich rad osiedlowych i kryzysów w radach szkolnych, ale w końcu drzwi „Tribune” otworzyły się przed nim na całą szerokość. Dostał pełen etat. Upajał się swoją zawrotną karierą. Niezbyt długo.

Napisał serię artykułów o przestępstwach, jakich dopuszczali się miejscy radni, demaskował łapownictwo i nieuczciwe praktyki w swoim okręgu wyborczym. Myślał, że jest superbohaterem. Pławił się w zaszczytach, lecz nie zapomniał o powiększaniu sieci ulicznych kontaktów. Dzięki nim docierał do coraz głębszych pokładów urzędniczych nieprawidłowości, na których, jak się zdawało, zostało zbudowane miasto. Był głosem szarego człowieka.

Aż jedna z historii, na które natrafił, nieoczekiwanie zmroziła mu krew w żyłach. Pewnego dnia odkrył, że robienie przekrętów nie ogranicza się do gabinetów radnych i bankierów inwestycyjnych...

Parę dni później wyciągnął walizkę i zaczął się pakować. Nie mógł strawić gorzkiej prawdy, w którą kazał mu się wgryźć reporterski instynkt. Zakończył karierę cudownego dziecka, by uciec na wybrzeże i zaszyć się w tym zapyziałym miasteczku w pobliżu oceanu.

I urwiska.